



STAR CRAFT
HEART OF THE SWARM

Poparzeni kwasem

Antony Johnston

KRAKULV, 2504

— Nigdzie się nie ruszamy! Do dział!

Kapitan Brach Treicher odwrócił się od platformy artyleryjskiej i puścił biegiem do centrum dowodzenia. Mimo masywnego pancerza CMC pokonywał susami po trzy stopnie. Z tyłu działa miarowo były staccato. Marines już od godziny patrzyli, jak prom za promem ewakuował bazę Krakulv i oczywiście liczyli, że będą następni. Ale mieli zostać.

Krakulv był tajną, księżycową bazą wczesnego ostrzegania przed najazdami zergów, zlokalizowaną na obrzeżach przestrzeni kosmicznej Dominium. Chyba tylko kiedy założono bazę, po Wojnie Pierwszego Kontakt, znajdujących się w niej promów wystarczyło dla całego personelu. Ale z upływem czasu i powiększaniem się bazy oraz jej populacji — według Bracha: powiększaniem się panującej tu beztroski — transportowców zaczęło brakować.

Rozkaz ewakuacji zbędnego personelu cywilnego po początkowym ataku wydała major i Brach postąpiłby tak samo, ale i tak czuł niesmak. Pierwsza fala, która przybyła przed księżycowym wschodem słońca, wzięła ich z zaskoczenia. Nie powinno się tak stać. Po co stacja ostrzegawcza, skoro nie potrafi nawet wykryć ataku na siebie? Niestety nie wykryła i w ciągu pierwszych dziesięciu minut zginęła jedna czwarta mieszkańców. Ocaleni uciekli, zostawiając tylko jeden prom, przez co kilkuset marines musiało powstrzymać inwazję zergów aż do przybycia znajdującego się najbliżej okrętu klasy niszczyciel...

Drzwi pancerne otworzyły się z sykiem i Brach wszedł.

— Wiemy już, kiedy przybędzie niszczyciel?

Dowódca bazy, major Lee Treicher, popatrzyła na konsolę dowodzenia.

— Sześć godzin.

— Sześć godzin?! Lee, nie utrzymamy się tak długo! Krakulv nie jest przygotowany na takie oblężenie!

Większość personelu centrum dowodzenia ewakuowano, ale pół tuzina ludzi zostało przy stanowiskach taktycznych i teraz każdy z nich wlepił wzrok w swoją konsolę.

Lee przeszła Bracha lodowatym spojrzeniem. Mężczyzna westchnął. Jeśli coś go denerwowało w żonie, to właśnie to. Nigdy nie traciła opanowania, nigdy nie podniosła głosu, nawet jeśli miała do tego pełne prawo. Czasami chciał ją potrząsnąć tylko po to, żeby zareagowała i choć raz dała się ponieść.

— To co proponujesz? — spytała spokojnie. — Poddać się? Chcesz zamachać białą flagą w nadziei, że zergom się odwidzi i zmienią się w pacyfistów?

— Kontratak. Nie możemy tylko siedzieć i czekać na śmierć.

— Wysłałam zwiadowców w krukach, żeby ocenili sytuację. Wstrzymam się z decyzją do ich raportu. Możesz mi albo pomóc, albo iść pokrzyczeć na swoich ludzi jakieś motywacyjne obelgi.

Brach zawahał się i stanął koło Lee. Położył pancerną dłoń na jej dłoni i delikatnie uścisnął.

— Przepraszam — wyszeptał.

Uśmiechnęła się krzywo i odwróciła do konsoli.

— Popatrz na te formacje...

* * *

GARXXAX, 2501

Godzinę przed północą Illyana Jorres wyłączyła monitory ochrony. Dwadzieścia minut temu, skończyła przedterminowo zdalną inspekcję posterunków biosfery. Niczego nie wykryła. Czyli w normie – Garxxax był małą planetą w niewielkim układzie planetarnym na obrzeżach terrańskiej przestrzeni kosmicznej, z dala od tętniącego życiem Dominium. Na tym świecie nie występowały formy życia inteligentniejszych od leśnych gryzoni.

Ale właśnie o to prosiła Jorres, kiedy dołączała do firmy. Napatrzyła się na akcję podczas wojny – było tego wystarczająco dużo nawet, jak na marine. A ponieważ nie miała żadnych innych przydatnych umiejętności, została niezależnym specjalistą od ochrony i wylądowała tutaj. Na planecie, gdzie podróż przez górskie lasy deszczowe była niemożliwa bez skafandra chłodzącego i gdzie nawet kąpiel w oceanach pokrywających większość powierzchni planety przypominała wizytę w saunie.

Brakowało akcji i emocji. Była tylko Jorres, dziesiątka naukowców i upał. Pasowało jej to.

* * *

Behemot jęknął i przesunął olbrzymie cielsko, aby ulżyć sobie w cierpieniu od ran otrzymanych w trakcie bitwy. Flota protosów wzięła go z zaskoczenia, gdy dryfował na obrzeżach ich przestrzeni kosmicznej. Zapłacił wysoką cenę. Teraz życie z niego uciekało, mimo że bitwa już dawno się skończyła. Istnienie behemota było nieważne, ale w swoim wnętrzu, w przepastnych membranach, miał tysiące innych zergów i gdyby zginął, one również znalazłyby się w niebezpieczeństwie. Podróże kosmiczne były dla niego czymś naturalnym, ale też wyczerpującym. Stary behemot potrzebował czasu na wyzdrowienie i odzyskanie sił. W próżni nie mógł tego uczynić.

Kerrigan poprowadziła behemota do ostatecznego zwycięstwa, ale stwór opłacił to wieloma ranami. Teraz rozglądała się jego zmęczonymi oczami w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na odpoczynek.

Tam, w sektorze przed nimi. Świat o azotowo-tlenowej atmosferze i formach życia opartych na węglu. Życia, które behemot i tysiące zergów w przepastnych membranach jego ciała mogły pożreć, aby przetrwać. Aby wyzdrowieć. Kerrigan skierowała behemota na planetę.

Po pewnym czasie – godzinie, tygodniu, miesiącu, czas znaczył niewiele dla tak wiekowych istot – żywy statek zergów znalazł się w polu grawitacyjnym planety. Chmury były gęste i zasłaniały powierzchnię. Kiedy behemot przebił się przez ich warstwę, rozpoznał niektóre z cech terenu. Widział podobne światy – górzyste, zalesione, zielone. Już kiedyś spoczął na takim. Zergi znajdują tu bogate źródło protein, może nawet ssakopodobne formy życia.

Życie. Tak! Behemot wyczuł w dole skupisko biologicznych źródeł ciepła. Instyktownie skorygował tor lotu skręcając w tamtym kierunku.

* * *

Brach przejrzał informacje nadchodzące z kruka i przesłał je Lee. Oboje walczyli w Wojnie Pierwszego Kontakt i wiedzieli, czego się spodziewać. Zerglingów, mutalisków, hydalisków... ale było coś jeszcze, czego nie rozpoznał.

— Pani major, co to takiego?

Lee odeszła od głównej konsoli, stanęła przy Brachu i przyjrzała się zaśnieżonym obrazom z kamery kruka. Kapitan wskazał na kolumnę krępych, wielonożnych zergów przemieszczających się po biomasie. Grube, kolczaste pancerze osłaniające wielkie cielska I

skrywające łby. Zergi poruszały się grupą w kierunku instalacji satelitarnych, które znajdowały się dwa kilometry od murów bazy Krakulv.

Lee pokręciła głową.

— Pierwszy raz widzę takie jednostki. Ale wiadomo, że zergi szybko ewoluują i mutują. Może to nowy gatunek albo stara jednostka, ale ulepszona o...

Kolumna zergów znalazła się w odległości ćwierć kilometra od anten satelitarnych. Stworzenia w pierwszym rzędzie podniosły się i wypuściły z paszcz strumień jaskrawozielonego kwasu. Gdy skończyły, rząd za nimi zrobił to samo. Pół minuty później, z instalacji satelitarnej została jedynie dymiąca sterta stopionej neostali.

— LRC-4 — krzyknął jeden z członków personelu technicznego.

Lee syknęła przez zęby:

— Karakany.

— Jesteś pewna? Myślałem, że są mniejsze?

— Najwyraźniej urosły. Kuźwa. — Lee szybko wróciła do głównej konsoli i po raz setny sprawdziła stan obrony bazy.

— Mury nadal są na 100%, na razie żadnych wyłomów ani poważnych zniszczeń. Ale te cholerstwa przeżrą się przez nie w godzinę, góra dwie.

— Dwie nie brzmi źle. Zanim się przebiją zdążymy się stąd wytransportować.

Lee nie odpowiedziała. Patrzyła sparaliżowana. Nie wiedziała, co robić. Brach nie widział, żeby tak się denerwowała od czasu ich ślubu. Znał dokładnie powód. Myślami powędrował do ich kwater i gabloty z trofeami, którą po jego naleganiach zabrali ze sobą, żeby przypominała, że chociaż oddelegowano ich do pilnowania niewielkiej, niezbyt ważnej bazy, to nadal byli marines na służbie i kierowali się honorem. Ale w gablocie znajdowały się nie tylko medale i trofea. Była też pełna pamiątek z pola walki, świadectw tego, co razem przeszli podczas wojny. Musiał coś zrobić.

— Poprowadzę eskadrę i zagram na zwłokę — Brach zasalutował i odwrócił się do wyjścia. — Pani major.

Lee podniosła głowę z nad konsoli, zaalarmowana.

— Co? Nie! Wiesz, co one potrafią, a te są większe niż jakiegokolwiek, które dotąd widzieliśmy. A jeśli potrafią atakować jednostki latające?

— To dlaczego nie zdjęły kruka? Te wielkie pancerze ograniczają ruchy tak bardzo, że kreatury nie potrafią patrzeć w górę. Wystarczy mi pół tuzina banshee i współrzędne z kruka. Szybkie, proste uderzenie.

— A kiedy ostatni raz ktokolwiek z was leciał banshee? Pół roku temu? Rok? Jesteście równie zardzewiali, co te statki. Nie będę bez powodu ryzykować niczym życiem. Nikt nie opuszcza murów. Pan również, kapitanie. Rozumiemy się?

Brach wiedział, że Lee mówi poważnie, kiedy nazywa go kapitanem lub zwraca do niego jego pełnym imieniem – Brachyan. Nienawidził tego, głównie z tego powodu, że czuł się wtedy, jak dziecko. Była jego żoną i przełożonym... Co nie znaczyło, że nigdy się nie myli. Nie wiedziała na przykład, że on i pół tuzina innych weteranów co miesiąc, podczas każdej północy księżycowej, oblatywali banshee.

— Tak jest, pani major. — Wyszedł z centrum dowodzenia.

* * *

— Hej, Illyana. Co słyszeć? — Dannion Kortter nie oderwał wzroku od monitora.

— Niewiele — odpowiedziała, gdy drzwi za nią się zamknęły, — Ja, ty, dziewiątka jajogłowych, jedenaście sztucznych ekosystemów i nic do roboty. Właśnie tak, jak lubię.

Jakby na komendę, niemal cała konsola Danniona rozbłysła i w głośnikach rozbrzmiał szorstki głos.

— *Raynolds do bazy. Spodziewamy się burzy?*

Dan otworzył kanał łączności.

— Raynolds, tu baza. — Przeskanował grafik. — Mam cię w biosferze trzeciej, pod górą, w kopule ślimaków i żywicy. W czym problem?

— *Ciemno się zrobiło, jakby ktoś zgasił światło. Ale sprawdzałem prognozę przed opuszczeniem bazy i nie było nic o zachmurzeniu ani frontach burzowych. Możecie sprawdzić jeszcze raz?*

— Nie ma sprawy, zaczekaj — Dan włączył prognozę pogody na dzień i aktualizowane w czasie rzeczywistym mapy pogodowe. — Powinno być sucho i bezchmurnie. Może to cień góry? Zbliża się druga popołudniu. Jeśli słońce zachodzi po drugiej stronie...

— *Na miłość boską, jestem tu dwa razy w tygodniu. Wiem, kiedy robi się ciemno.*

Illyana pochyliła się nad ramieniem Danniona.

— Raynolds, tu Jorres. To na pewno chmury?

— *Skąd mam wiedzieć? Siedzę w kopule ślimaków, nic nie widzę przez ekrany geodezyjne. Z sekundy na sekundę jest coraz ciemniej. Wracam do sterowni po latarkę, zanim... KRZRRZKRZKRZZZKKKK.*

Ziemia zadrżała.

— Co to było? — Dan krzyknął do komunikatora, próbując ponownie nawiązać łączność.

Illyana myślała, że ziemia nadal drży, ale zdała sobie sprawę, że to wibracje czujnika alarmowego przy jej biodrze. Sprawdziła, o co chodzi.

— Kuźwa.

Do pokoju wbiegł dysząc Hesken, jeden z naukowców.

— Trzęsienie ziemi? — wydyszał. — Nienawidzę trzęsień. Tylko nie mówcie, że planeta jest aktywna sejsmicznie.

Illyana minęła go nieśpiesznie.

— Jeszcze nie wiemy, ale cokolwiek to było, naruszyło integralność biosfery. Właśnie otrzymałam alert: mamy utratę hermetyczności, włączyły się systemy awaryjne. Kooter, próbuj dalej połączyć się z Raynoldsem.

Przez monitory przeleciały dane i raporty. Dan rzucał okiem z ekranu na ekran, wertując wszystkie informacje, szukając rozwiązania, a przynajmniej wyjaśnienia.

— A ty?

Illyana ruszyła do wyjścia nie oglądając się za siebie.

— Idę tam.

* * *

Sześć banshee z rykiem przeszło fioletowe niebo, zrzucając na zergi deszcz rakiet. Dolina zapłonęła. Brach, lecący na czele eskadry, zawrócił swój myśliwiec przygotowując się kolejnego ataku.

— Pani major Lee, pierwszy atak śmiertelny — powiedział do mikrofonu. — Banshee, przygotować się do drugiego nalotu.

W bazie Krakulv Lee wściekała się w milczeniu, zaciskając pięści. Wiedziała, może podświadomie, że Brach nie posłucha rozkazu i zabierze banshee. Wiedziała o lotach ćwiczebnych organizowanych co miesiąc podczas księżycowej północy, gdy myśleli, że nikt nie zauważy.

Jeśli przetrwają tę bitwę, może udzielić mu reprimendy. Ale właśnie – jeśli przetrwają. W kwestiach życia i śmierci, sąd wojskowy był najmniejszym zmartwieniem marines.

Pozwoliła im na to i rozkazała personelowi centrum dowodzenia zapewnić pełne wsparcie taktyczne. I tak już wylecieli, więc nie miała wyjścia.

Brach ustawił statek do drugiego bombardowania, uzbroił wszystkie systemy, obniżył i wyrównał lot. Podczas pierwszego ataku marines lecieli zamaskowani aż od bazy, nisko, odpalając rakiety w ostatniej chwili, zanim zergi zdążyły nakierować nadrzędców na ich pozycje... Ale zasilanie systemów maskujących w tych rupieciach miało wyczerpać się lada moment. Przynajmniej co do Lee się nie myliła.

Teraz zergi wiedziały, że żołnierze nadlatują. Brach miał nadzieję, że marines je opóźnią i że oddział zdąży się ewakuować z pola walki przed przybyciem posiłków obcych.

— Ognia!

Brach przeleciał nad kolumną karakanów, które nie poruszały się już jednolitą masą — pociski wystrzelone z banshee wybiły dziury w ich szeregach, a kolejne rakiety, które zaczęły spadać na dolinę, dołożyły swoje...

Ale coś się nie zgadzało. Brach spodziewał się zobaczyć połamane pancerze i flaki zergów rozrzucone po polu walki. Zamiast tego luki w szeregach karakanów były tylko lukami. Zupełnie jakby karakany rozplynęły się w powietrzu.

Albo zapadły pod ziemię.

Brach zauważył, jak karakany zagrzebują się, chroniąc się przed atakami pod pyłową, splekaną powierzchnią księżyca. Część była ranna, ale inne znalazły już schronienie. Piloci banshee potrzebowali czegoś mocniejszego od stingerów, żeby załatwić tę odmianę zergów.

— Ołać karakany! Skupić ogień na...

Zanim zdążył dokończyć, w jego słuchawkach rozbrzmiał ogłuszający huk i fala uderzeniowa przechyliła jego banshee. Brach pociągnął za wolant, aby wyrównać lot i rozejrzał się, aby zlokalizować źródło uderzenia. Zauważył rozpadający się kadłub banshee, który runął na ziemię w deszczu ognia i odłamków. Za nim, przez ogień eksplozji, przeleciała eskadra mutalisków.

— *Trzy wysoko, kapitanie!*

Krzyk jego skrzydłowego przywrócił Brachowi poczucie rzeczywistości. Kapitan zrobił zwrot i zobaczył, jak dwa mutaliski sfruwają z górnych warstw atmosfery wprost na niego.

* * *

Illyana zapięła skafander chłodzący i sprawdziła status. Wszystkie światełka migają na zielono. Atmosfera Garxxaxa była zdatna do oddychania, ale niezbyt bogata w tlen, dlatego podłączyła nosowe rurki tlenowe na wypadek, gdyby zabrakło jej tchu. Następnie ciasno zawiązała buty i dwa razy sprawdziła, czy szczelnie je zacisnęła. Zapomniała o tym za pierwszym razem, gdy udała się do lasu deszczowego, i mało brakowało, a zantariański ślimak wpełzłby jej do buta. Widziała skutki działania kwasowej wydzieliny tych stworzeń dostatecznie dużo razy na monitorach laboratoryjnych, żeby wiedzieć, jak łatwo mogłaby stracić lewą nogę. Dlatego nigdy więcej wołała nie zaniedbać ostrożności przy wiązaniu butów.

Broń. Oby jej nie potrzebowała – większość lokalnych form życia była niegroźna lub bała się terran – ale na wszelki wypadek Illyana nigdy nie wychodziła bez pistoletu. Podniosła swój wysłużony P220 i szybko go sprawdziła. Miał prawie tyle samo lat, co ona. Wiedziała, że większość weteranów przerzuciła się na nowsze i potężniejsze karabiny. Ale

P220 nigdy się nie zaciął i nigdy nie znosił przy strzale. Nawet najpotężniejsza broń we wszechświecie jest bezużyteczna, gdy nie działa.

W końcu opuściła wizjer, aby osłonić oczy przed popołudniowym światłem. Biosfera znajdowała się po północnej stronie góry, ale jeśli problem nie okaże się odosobniony, Illyana będzie musiała sprawdzić inne placówki, a część z nich umieszczono na otwartym terenie ze względu na najlepsze naturalne oświetlenie. Mocno przechylona oś Garxxaxa sprawiała, że o tej porze roku czasami mijały długie godziny, zanim słońce ostatecznie zaszło za horyzontem.

Do pomieszczenia wszedł Dannion.

— Skontaktowałem się z Raynoldsem. Tak jakby.

— Mów, nie bądź nieśmiały, Dan. Nie pasuje ci to.

Nic nie odpowiedział, a Illyana zrozumiała, że wyraz twarzy, który początkowo brała za zawód, tak naprawdę oznaczał strach.

— Mam na myśli... oznaki życia. Ciągłe nie mamy łączności z biosferą, ale odebrałem słaby sygnał z jego czujników funkcji życiowych — wydusił Dan.

Illyana wyszła razem z nim.

— Powiedziałeś, że sygnał jest słaby. Może po prostu się nie przebił. Próbuje dalej, okej?

— Moim zdaniem nie powinnaś iść. Lepiej zarządzmy ewakuację. Minie kilka godzin, zanim lądowisko tutaj dotrze...

Popchnęła go z powrotem do pomieszczenia łączności.

— Dan, będzie dobrze. Umiem o siebie zadbać.

* * *

Myśliwiec banshee zatoczył korkociąg niczym pijany. W miejscu, gdzie znajdował się jeszcze przed chwilą, wybuchły czerwie glewiowe. Za nim pędziło dwadzieścia mutalisków, strzelając do statku, gdy zbliżał się do bazy Krakulv. Z lewego boku maszyny buchał czarny dym.

W centrum dowodzenia Lee Treicher nerwowo wpatrywała się w skanery. Personel przekierował prognozy pani major, według których banshee zdoła dotrzeć do linii obronnych bazy, zanim mutaliski go przechwycą. Ale były to tylko mocno przybliżone szacunki, a uszkodzony silnik turbowentylatorowy pojazdu sprawiał, że były jeszcze mniej wiarygodne.

— Pani major, za dziesięć sekund będzie w zasięgu obronnym bazy.

Banshee zaczęła robić beczkę, starając się uniknąć skoncentrowanego ataku stada mutalisków na prawe skrzydło. Zbita grupa czerwi wybuchła jednocześnie, jak fajerwerki, ich resztki opadły w smugach dymu.

— Pięć sekund. Cztery. Trzy. Dwa...

— Ognia z wszystkich dział! — krzyknęła Lee.

Marines obsadzający artylerię usłyszeli rozkaz głośno i wyraźnie. Ćwierć kilometra od murów bazy niebo rozbłysło od ognia przeciwlotniczego, który rozrywał ciała i skrzydła mutalisków. Banshee zanurkowała nisko, aby uniknąć złapania w bratobójczy ogień.

— *Cholera jasna, dajcie się chociaż schować, zanim zaczniecie grzać!*

Głos Bracha przerywany był trzaskami radiowymi i stłumionymi hukami, ale Lee usłyszała go dobrze. Nienawidziła się za to, że się uśmiecha, podczas gdy pozostała piątka pilotów, która wyruszyła z Brachem, została zdjęta przez mutaliski i wsparcie ultralisków. Zanosilo się, że dla Brachów Krakulv będzie ostatnim bastionem. I pal licha nepotyzm, ale Lee bardzo pragnęła, aby jej mąż był u jej boku, kiedy ten burdel się uspokoi.

— Kapitanie, po lądowaniu natychmiast zameldujcie się zdać raport.

Przybył pięć minut później, znów w skafandrze bojowym CMC tak, jakby wyszedł tylko na chwilę, jakby nic się nie stało. Ale wyraz jego twarzy zdradzał co innego.

— Wyeliminowaliśmy kilka eskadr, major Lee. Wnoszę, że zyskaliśmy dwie, może trzy godziny, zanim zergi się przegrupują i przygotowują do ataku naziemnego.

— Było warto?

Brach zeszywniał.

— Nie mnie o tym decydować, major Lee. Moi ludzie robili, co do nich należy, tak jak my wszyscy.

Lee westchnęła.

— A rozpoznanie? Czy coś wskazuje, jakiej taktyki użyją, gdy już do nas dotrą?

Brach się zawahał.

— Ciężko powiedzieć. Zagrzebywały się w tej skale tak łatwo, jakby to był piasek.

— Wychodziłeś kiedyś na zewnątrz? Mnie wystarczyłaby łopata, żeby przekopać się przez pył księżycowy.

Zignorował jej sarkazm. Jeszcze nie wiedziała wszystkiego.

— A robiąc to wyleczyłabyś złamaną nogę w pięć sekund?

Lee zabłyśły oczy.

— Co?

— Myślałem, że w pierwszym podejściu wybiłem pół kolumny. Schodząc do drugiego widziałem, jak wygrzebują się na powierzchnię... po zasadzce mutalisków mogłem się przyjrzeć jeszcze raz i przysięgam, że prawie każdy z karakanów wylazł spod ziemi jak nowy. Jakbym walił w nie z pistoletów na wodę.

Lee zacisnęła usta w ponurym grymasie i pokiwała głową.

* * *

Lądowanie nie było łaskawe dla behemota i potrzebował czasu na wyzdrowienie. Więcej czasu niż zergi mogły przetrwać bez pożywienia. Poza tym i tak musiały zbadać teren.

Kerrigan wyprowadziła je z nieprzytomnego behemota. Planeta była gorąca, wilgotna, górzysta i zdradliwa, ale takie niewygody nie znaczyły nic dla zergów. Rojniki, kolcomioty, skrzydlate oraz wiele innych gatunków roju rozproszyło się po lesie deszczowym szukając zarówno okazów fauny, jak i flory.

Mutaliski fruwały nad koronami drzew prowadząc rozpoznanie obszaru. Dzięki nim Kerrigan dostrzegła pobliską budowlę w lesie. Dwie jasne kopuły i odchodzące od nich mniejsze budynki z metalu. Terranie czy protosi? Nieważne. Interesowały ją głównie bazy wojskowe, a to na taką nie wyglądało. Mimo wszystko, jeśli znajdowało się tam życie, mogło posłużyć za pokarm dla zergów. Wydała rozkaz.

Do ataku.

Hydraliski pierwsze przebiły się przez blade osłony kopuły. Z wyrw wydobyła się para i strumień gorącego powietrza, kolorowo błysnęły prymitywne systemy ostrzegawcze terran. Teren wewnątrz kopuły był taki sam, jak na zewnątrz. Panowało tam jednak większe gorąco, a między roślinnością biegły ścieżki o utwardzonej nawierzchni. Hydraliski zignorowały wyznaczone, kręte trasy i ruszyły prosto przed siebie...

Odgłos, terrański krzyk. Kerrigan popędziła hydraliski naprzód.

Małe, ślimakopodobne stworzenia, nieznanne umysłom zergów, spadały z drzew i krzewów na przechodzące hydraliski. Część ze ślimaków uczepiła się zergów, które odczuły ból, ale uwaga Kerrigan skierowana była gdzie indziej.

Przed metalowymi drzwiami stał samotny terranin. Cuchnął strachem i rozpaczą, ciężką mieszanką, która zalewała i odurzała zmysły hydralisków. Upajały się, rozkoszowały, a następnie pochłonęły, aż pozostał tylko zapach terrańskiej krwi.

Teraz zerglingi weszły do wnętrza kopuły i udały się za swoimi większymi braćmi pod drzwi. Jednak z gałęzi drzew wprawionych w drżenie przez nieostrożne zerglingi spadło więcej ślimaków i kolejne zergi odczuły ból, niektóre silniejszy niż inne. Kerrigan zatrzymała zerglingi, zaciekawiona tym, że tak małe stworzenia mogą zranić potężne zergi.

Wysłała część zerglingów, aby sprawdziły ślimaki, ale stworzenia były delikatnej budowy i łatwo ginęły w ostrych, jak brzytwy szponach. Przeniosła więc swoją uwagę na hydrauliczki zgromadzone wokół drzwi i zauważyła coś, co wcześniej przegapiła.

Ślimaki spadły też na drzwi, a w miejscach, których dotknęły, powstawały płytkie dziury. Martwy terranin miał na rękach okrycie ochronne. W zbiorniku u jego stóp nadal znajdowało się kilka ślimaków.

Te mięczaki potrafiły nie tylko ranić ciało zergów, ale ich wydzielina przeżerała też metal. To mogło okazać się bardzo użyteczne.

Kerrigan wyczuła nieoczekiwany ruch i oczami zerglingów zobaczyła jego źródło. Ślimaki, które przypadkowo zabiły, drgały. Te, które zostały jedynie zranione, znowu się poruszały i nie miały ani śladu po obrażeniach.

Naprawdę bardzo użyteczne.

* * *

— Pani major, informacja ze ewakuacyjnego niszczyciela. Będą za godzinę.

Lee odetchnęła z ulgą. Czterdzieści minut temu zergi otoczyły Krakulv. Teraz atakowały mury wszystkim, co miały – w tym kwasem karakanów – podczas gdy mutaliski prowadziły szybkie naloty z powietrza. Mury się trzymały, a Brach dowodził baterią dział przeciwlotniczych mających za zadanie odpierać natarcia skrzydlatych zergów. Jednak Lee

wiedziała, że to tylko kwestia czasu, kiedy zergi zrobią wyłom w liniach obronnych bazy księżycowej.

Sześćdziesiąt minut. Jeśli mury i działa utrzymają się na tyle długo, Lee zabierze stąd resztę marines przy stratach ogólnych nie większych niż trzydzieści procent. Był to o wiele lepszy wynik niż jej szacunki po pierwszym starciu.

Ataki mutalisków osłabły na chwilę. Lee skierowała uwagę na transmisję z murów na głównej konsoli. Nieustanny szturm zergów zniszczył już część systemów wbudowanych w zapory, obraz śnieżył i przerywał. Zmrużyła oczy próbując rozpoznać ruchy i kształty. Widziała zerglingi, były też hydryliski i karakany...

Dostrzegła coś, a przynajmniej tak jej się wydawało, przez co serce zabiło jej mocniej. Cofnęła o trzydzieści sekund i znowu to zobaczyła. Przełączyła na transmisję na żywo i znowu tam było.

Wzięła głęboki oddech, aby przekazać Brachowi, co widziała, ale głos kapitana rozbrzmiał w słuchawkach, zanim się odezwała.

— *Lee, na ziemi coś się dzieje! Ciężko stwierdzić co to... Krakulv nie jest aktywny sejsmicznie, prawda?*

— To nie trzęsienie ziemi, Brach. Właśnie widziałam to na monitorach.

Lee sięgnęła do czerwonego przycisku alarmowego i wtedy przypomniała sobie, że ten świeci już od świtu. Przyłożyła rękę do mikrofonu przy słuchawkach i nadała komunikat.

— Uwaga, do wszystkich jednostek. Karakany zaczynają podkop pod murami. Powtarzam, karakany teraz nie tylko się zagrzebują, ale potrafią się przekopywać! Wszyscy poza artylerią natychmiast na dwór!

Obrazy z wewnątrz pokazywały, jak marines z całej bazy zbiegają się na dziedziniec. Wtedy Lee przypomniała sobie, co Brach widział w dolinie.

— Używajcie najcięższej broni i potwierdzajcie likwidację. Powtarzam, upewnijcie się na sto procent, że zginęły! Bydlaki lecą się błyskawicznie, więc nie wystarczy je ranić! Jeśli się zagrzebią, granatami je!

Gdy marines uzbrojeni w karabiny szturmowe C-14 wylali się na zewnątrz, pierwsza fala kąpiących karakanów zaczynała wygrzebywać się spod spękanej powierzchni księżyca. Baza rozbłysła od ognia karabinów, gdy oddziały Lee rozpoczęły walkę z zergami. Karakany odpowiedziały atakiem kwasem i potężnymi, chitynowymi odnóżami, które na jej oczach rozerwały jednego z marines na pół. Kolejny żołnierz poległ, gdy karakan wyłonił się z ziemi pod nim. Lee patrzyła, jak wciągany się miota, i poczuła tylko cień satysfakcji, gdy nastąpił wybuch i z dziury wystrzeliła fontanna kawałków pancerza i ziemi. Marine wyciągnął zawleczkę i zabrał wroga ze sobą do piachu.

Dziesięć minut później, bitwa trwała nadal. Karakany były duże, grubo opancerzone i leczyły rany równie szybko, jak karabiny marines je zadawały. Lee doliczyła się pięciu zabitych karakanów, ale za cenę trzydziestu poległych marines – liczba ofiar rosła. Jej ludzie próbowali utrzymać dystans, ale ponieważ zergi dosłownie wyskakiwały spod ziemi, nie było się gdzie ukryć.

Wtedy karakany zawróciły.

Major liczyła, że wycofują się, aby przegrupować się przed następnym uderzeniem na mury, ale wtedy zrozumiała, że przebicie się robali do środka bazy było dopiero pierwszym etapem. Nie udało im się pokonać murów przygotowanych na odparcie najsilniejszych ataków i wyposażonych w automatyczne, wartownicze wieżyczki strzelnicze. Ale tutaj, w środku, nie było wartowników, ani przypór. Tylko grube płyty z neostali, które karakany traktowały teraz skoncentrowanymi strumieniami kwasu – po trzy zergi na każdy punkt. Marines zasypywali je gradem kul, ale przed robale wysunęły się inne karakany robiąc za żywe tarcze.

Mutaliski zapewne czekały w odwodzie, aż karakany skończą wyłom. Lee by tak postąpiła. Miała teraz tylko jedną broń do dyspozycji i trudną decyzję do podjęcia. Wzięła głęboki oddech.

— Brach, zdejmij blokady żyroskopowe z dział i skup ogień na karakanach.

— *Pani major może powtórzyć?*

— Skieruj działa w dół, do diabła! To jedyna broń na tyle silna, żeby zdjąć karakany, zanim zrobią wyłom!

— *Nasi ludzie ciągle tam są!*

— Wiem!

Brach się rozłączył.

Lee czekała bezsilnie patrząc, jak karakany powoli rozpuszczają mury, molekula po molekule. Sekcja 4D rozpadała się błyskawicznie.

Na dziedzińcu rozległ się ogluszający huk dział, które uderzyły w grupę karakanów. Wybuch sięgnął trzech stojących najbliżej marines i odrzucił ich daleko do tyłu.

— *Wszyscy do odwrotu! Powtarzam, zachować dystans i nie wkraczać do walki!* — głos Bracha rozbrzmiał głośno i wyraźnie w komunikatorach, gdy działa przeciwlotnicze kontynuowały ostrzał dziedzińca.

Lee monitorowała stan muru. Jej personel wykrzykiwał meldunki.

— Sekcja 8C się rozpada!

— 3B na osiemdziesiąt procent!

— 4D prawie nie ma!

— *Przyjąłem. Natychmiast skupić ogień na tych obszarach!*

Kolejne działa zahuczały na dziedzińcu, ogień skoncentrował się na karakanach atakujących najsłabsze punkty. Tam, gdzie już doszło do wyłomu, Brach kazał skupić ostrzał na dziurze, rozrywając wyłazące z niej zergi.

Teraz ofensywę wznowiły mutaliski, ściągnąc na siebie ogień z ziemi i atakując marines na dole salwami czerwii.

Lee sprawdziła czas. Czterdzieści minut.

* * *

Illyana i Dan weszli do pomieszczenia łączności razem. Dan od razu przystąpił do pracy nad wzmocnieniem sygnału z czujników życiowych Raynoldsa, stukając w przyciski i zmieniając konfigurację. Oddychał szybko.

Illyana włączyła konsolę systemu spacerów kosmicznych i uruchomiła sekwencję odpalenia jednego z dzunglowych łązików. Były to zmodyfikowane mohikany, ale dr Callins – główny naukowiec projektu i kierownik działu biomorfologii – nazwał je pierwszego dnia dzunglowymi łązikami. Illyana nie wiedziała, czy naukowcy starali się być zabawni, czy podlizywali Callinsowi, ale nazwa się przyjęła.

Dan podniósł wzrok znad konsoli.

— Co to za hałas?

Illyana odwróciła się, próbując namierzyć źródło dźwięku, zanim zdała sobie sprawę, że pochodzi z kieszeni jej skafandra chłodzącego. Czujnik alarmowy znowu wibrował.

— Nie... — Sprawdziła status. — Sfera szósta jest zagrożona.

— To najbliższa trzeciej w kierunku zachodnim. Ktoś tam jest?

— Nie, dzisiaj obsadziliśmy tylko numer trzy. Na szczęście. Co się do cholery dzieje?

Dr Callins wpadł do pokoju.

— Kortter, bawiłeś się sygnałem? Wszystkie obrazy ze sfery szóstej po prostu zniknęły!

Callins miał typowy dla naukowca porywczy charakter. Illyana weszła między niego i Dana, aby zdusić w zarodku nieuchronną kłótnię.

— To nie my, sir. Szóstka jest zagrożona, podobnie jak trójka.

— No to co, do cholery, tak tutaj stoicie? Idźcie to naprawić!

— Taki ma zamiar. Jeśli się pan uspokoi... — Czujnik alarmowy w jej ręku zawibrował. — Teraz straciliśmy jedynekę.

— Co?!

Illyana zignorowała Callinsa i włączyła mapę posterunku. Biosfery były ułożone mniej więcej na okręgu, każda w odległości dziesięciu, dwudziestu kilometrów od bazy centralnej. Takie odległości pozwalały zapewnić względne środki bezpieczeństwa, a jednocześnie dostatecznie zróżnicować środowisko. Sfera trzecia znajdowała się mniej więcej na północny zachód od ich pozycji. Szósta na zachód od trzeciej. Jedyńska na południowy zachód od szóstej.

— Dan, popatrz. Miałeś rację: padają w kolejności po okręgu. W ruchu przeciwnym do wskazówek zegara.

Wyraz twarzy Danniona powiedział Illyanie, że wolałby się mylić.

— W kolejności czego? Nie ma powodu, żeby padały po kolei. Są autonomiczne, mają dedykowane, równoległe systemy. Jedyne, co je łączy, to my.

Illyana spojrzała jeszcze raz na mapę. Zastanowiła się nad kolejnością i przypomniała sobie słowa Raynolda: „jakby ktoś zgasił światło”.

— Włącz pełny alarm. Dan, wezwij lądowik. Doktorze Callins, proszę zebrać swoich pracowników i przygotować ich do ewakuacji. Macie cztery godziny.

— Co...? Ale... nie możecie... — Callins jękając się próbował zaprotestować.

Wyrzuciła go z pomieszczenia, choć się opierał. Illyana wiedziała, że była najmniej szanowanym członkiem personelu na planecie, ale ochrona teoretycznie miała wyższą rangę niż personel cywilny, więc mógł się wypchać.

Dannion położył palce na konsoli.

— Illyana... nie idź tam. Proszę.

Uśmiechnęła się smutno.

— Dan... sto razy bardziej wolę zostać i czekać na ewakuację. Ale nie mogę. To moje zadanie. — W głębi duszy, nawet mimo przeżytej traumy i grozy, Illyana Jorres ciągle była żołnierzem. Była marine. I nie mogła stać beczynną, gdy... gdy...

Wolała nawet o tym nie myśleć.

* * *

— *Baza Krakulv, tu niszczyciel „Victoria”. Mamy obraz, czekamy na potwierdzenie.*

Pięć minut przed czasem. Lee przełączyła komunikator na kanał zewnętrzny.

— „Victoria”, tu major Lee Treicher z bazy Krakulv. Miło was słyszeć. Jeszcze trochę i byłoby po nas. Mam mniej więcej stu do stu pięćdziesięciu ocalałych do ewakuacji. Czekam na instrukcje.

— Trochę u was ciasno, pani major. Można wylądować niszczycielem?

Lee zakłęła pod nosem. Krakulv nie zaprojektowano do obsługi okrętów o rozmiarach „Victorii”. Nikt nie uznał, że znajdzie taka konieczność.

— Nie. Możecie usiąść za murami?

— *Nie. Pół kilometra w każdym kierunku roi się od zergów.*

— Macie nasze promy?

— *Potwierdzam. Wszystkie na pokładzie.*

— No to słuchajcie. Nam został jeden. Wyślijcie trzy kolejne na autopilocie, a potem ustawcie się na pozycji nad bazą i zapewnijcie wsparcie z powietrza, żebyśmy zyskali na czasie.

Na linii nastąpiła cisza. Lee wiedziała, że na mostku będą rozważać jej propozycję, ale to było jedyne rozsądne wyjście. Nawet zwyczajny niszczyciel, jak „Victoria”, miał dość dział artyleryjskich, aby dać się zergom we znaki, i wystarczająco silne opancerzenie, aby wytrzymać kontratak.

Komunikator zatrzeszczał.

— *Przyjęliśmy, pani major. Zgoda na wasz plan. Za trzy minuty będziemy na pozycji do ataku. Wtedy puścimy promy.*

Przez następne trzy minuty Lee koordynowała marines. Rannych skierowała do jedyne w bazie promu, a pozostałym żołnierzom rozkazała wycofać się do bazy. Następnie posłała resztę personelu łączności do doku. Opierali się, ale zrezygnowali, kiedy zmierzyła ich tym swoim lodowatym spojrzeniem, które tak dobrze działało na Bracha. Wymeldowali się i ruszyli do wyjścia wpadając na jej męża, który przepychał się w przeciwnym kierunku.

— Lee! Dawaj, idziemy!

Zielone światło na głównej konsoli sygnalizowało, że pilot promu był gotowy do startu. Lee otworzyła drzwi pancerne hangaru.

— Idź, Brach. Ja polecę ostatnim.

— Ten jest ostatni! Niszczyciel zajął pozycję. Baza to nie statek, Lee, a ty nie jesteś kapitanem, żeby iść z nim na dno!

— Nie mam zamiaru. Ale nie możemy ryzykować, że zergi przechwycą nasze dane, a nie ma czasu wszystkiego usunąć.

— No to ustaw autodestrukcyjną atomówkę i zmiatajmy!

— To nie takie proste. Za krótkie odliczanie, a wybuch może załatwić „Victorię” i ludzi na pokładzie. Za długie, a zergi będą miały wszystko, zanim bomba się uzbroi.

— To co proponujesz?

Lee spojrzała na konsolę. Marines się wycofywali, a zergi zaczęły już przebijać się do zewnętrznych sektorów głównego budynku. Karakany szybko rozprawią się z drzwiami pancernymi przypór, łącznie z tą do centrum dowodzenia. Odwróciła się do Bracha i uśmiechnęła.

— Pamiętasz, jak kłóciliśmy się o gablotę?

— No...

Stała na palcach i pocałowała go w policzek.

— Jesteś geniuszem. Oto nasz plan...

* * *

Łazik podskakiwał na wertepach opadał na poszycie leśnie. Illyana jechała najszybciej, jak się odważyła. Winorośle i pnącza rozbijały się o przednią szybę, a insekty i niewielkie ssaki uciekały na boki przed jadącym pojazdem.

Cień góry zamienił światło popołudnia w poświatę zmierzchu, ale Illyana rozpoznawała już kształt położonej setki metrów wyżej biosfery. Stąd wszystko wyglądało w porządku. Tylko znad jednej kopuły unosiła się niewielka mgielka, ale w końcu panował tam wilgotny mikroklimat. Czasami widywało się, jak para wodna wydobywa się ze skał od upału panującego w lesie deszczowym.

Illyana zawróciła łazik na gruntową drogę. Była już wystarczająco blisko, a dalsza jazda mohikanem po coraz bardziej stromym zboczu góry Garxxax była proszeniem się o kłopoty.

Dotarła do bazy i zaparkowała pojazd. Coś tu zdecydowanie nie grało. Wokół panowała zupełna ciemność, brakowało jakiegokolwiek zasilania i oznak życia. Geodezyjną osłonę najbliższej kopuły pokrywała siatka pęknięć. Główne drzwi były wyrwane z framugi i teraz zgniecione leżały w poszyciu leśnym. W środku Illyana zobaczyła ogrom zniszczeń.

Centralny węzeł wyglądał, jakby przebiegło przez niego stado wściekłych zwierząt, bezmyślnie tratujących wszystko na swojej drodze – wyposażenie, konsole i meble. Ze zniszczonych paneli sufitowych zwisały kable zasilające, z których co jakiś czas trzaskały snopy iskier. Panele podłogowe były pogniecione i popękane, jakby przebiegł po nich tabun kopytnych bestii. Czyżby na planecie istniała forma życia, o której nie wiedzieli terrańscy naukowcy? Jakież potężne bestie, które mogły w popłochu zniszczyć taką budowlę?

Włączyła komunikator.

— Kortter, tu Jorres. Jestem w trzeciej biosferze i źle to wygląda. Kompletna demolka.

Dan odpowiedział wśród zakłóceń;

— Słabo cię słyszę, Jorres... U ciebie w porządku? Dźwięk... cholera jasna. Łączność siada... jesteś tam?

— U mnie dobrze — skłamała. — Lepiej powiedz, że wezwałeś ewakuację.

— *Potwierdzam.... jeszcze przed twoim wyjściem... dziewięćdziesiąt minut... melduj się.*

— Okej, przyjęłam. Szumi, jak cholera, ale słyszę cię.

— *Nie, głupia... masz wracać! Kolejne cztery sfery.... się dzieje... stąd spadać!*

Padły kolejne cztery biosfery. Założyłaby się o wszystkie oszczędności, że ciągle padały po okręgu. Według wzoru, który powoli, metodycznie okrążał bazę centralną.

Illyana sięgnęła do elektronicznego zamka śluzy do głównej kopuły. Każda biosfera miała taką, aby zapewnić hermetyczność ekosystemu. Drzwi zamykały się automatycznie w

przypadku naruszenia integralności powłoki zewnętrznej. Wprowadziła kod awaryjny i wstrzymała oddech.

Śluz otworzyła się z ciężkim, metalicznym trzaskiem. Przynajmniej te systemy nadal działały. Uchwyt był gorący. Illyana myślała, że to z powodu popsutej kontroli środowiskowej, ale potem przypomniała sobie, gdzie jest.

Biosfera trzecia służyła do badań nad dwoma lokalnymi formami życia. Jedną z nich było drzewo, którego pnącza puszczały dziwne soki, przywierające do neostali jak superklej. Badacze próbowali odkryć, czy żywicy tej da się użyć do wzmocnienia neostali. Problem w tym, że sok był również wysoce łatwopalny. Do zapłonu wystarczył jeden strzał, jedna iskra.... albo, jak odkryli, chemiczna reakcja na wydzielinę innego mieszkańca kopuły.

Ślimak zantariański miał niecałe dziesięć centymetrów długości, ale wydzieliał wysoce żrący śluz do obrony przed drapieżnikami. Śluz przeżerał neostal i wywoływał zapłon po zetknięciu z żywicą. W naturze ślimaki i winorośle żyły na przeciwnych krańcach kontynentu. Ale przypadek sprawił, że się zetknęły, co doprowadziło do olbrzymiej eksplozji i do ekscytacji biochemika Raynolda. Kiedyś zażartował, że tylko burze tropikalne chroniły Garxxaxa przed całkowitym spalaniem. Ale w sztucznych biosferach naukowcy mogli bezpiecznie badać i kontrolować reakcje.

Kolejnym problemem było złapanie ślimaków. Nie należały do inteligentnych form życia, ale posiadały silne odruchy samozachowawcze, które pozwalały im unikać niebezpieczeństw. Dowody na to można było znaleźć wśród poszycia lasu deszczowego — niewielkie dziury w ziemi wskazywały miejsca, gdzie zakopały się grupy ślimaków zantariańskich.

Raynolds i jego zespół próbowali poznać skład chemiczny śluzu i badali ślimaki, żeby dowiedzieć się, co czyni je odpornymi na żrące właściwości wydzieliny. Tajemnica miała związek z dziwnym metabolizmem, który pozwalał temu gatunkowi mięczaków

błyskawicznie się regenerować. Hesken pokazał kiedyś Illyanie film przedstawiający przeciętego na pół ślimaka, który następnie ponownie się złączył i zaczął funkcjonować, jakby nic się nie stało. Na filmie trwało to niecałą minutę. Zapytała Heskena, ile razy przyspieszył film. Zaśmiał się i powiedział, że film był odtwarzany w normalnym tempie. Nie trzeba było nawet przyspieszać nagrania, jak w programach przyrodniczych.

Teraz Illyana patrzyła na zniszczenia w strefie i zastanawiała, co mogło pójść nie tak. Ekosystem był zrównany z ziemią. Zrąszacze się włączyły i uratowały część pnączy, ale wcześniej ciepło pożaru doprowadziło do pęknięcia górnej części kopuły.

Ziemię pokrywały zwęglone ślimaki. Illyana założyła, że to pozostałości eksperymentalnego zapasu Raynolda, które uwolniły się, kiedy słoje pękły od ognia.

Zdała sobie sprawę, jak bardzo się myliła, kiedy potrafiła jedno z pnączy i spadł na nią deszcz ślimaków. Illyana miała szczęście — żaden z nich nie dotknął hełmu ani rurki tlenowej, ale kilka wylądowało na ramieniu kobiety i zareagowało instynktownie, zanim zdążyła je z siebie zrzucić. Niektóre wylądowały na winorośli doprowadzając do zapalenia się żywicy. Stworzenie wiły się i spadały, nie miały gdzie uciec, ogień zaczął je błyskawicznie trawić.

Przedramię zapiekło, jakby było przypalane. Parzący ból kierował się w górę i Illyana zdała sobie sprawę, że ślimaki wylądowały nie tylko na jej ręce. Po prostu na ręce miały więcej receptorów bólu.

Zrzuciła rękawicę, gorączkowo zerwała rękaw kombinezonu chłodzącego. Popatrzyła z grozą. Skóra na jej dłoni i ramieniu dymiła i syczała od kwasu ślimaków, z którym się zetknęła. Oderwany rękaw, wzmocniony płytami z neostali, roztopił się na ziemi niczym lód w ogniu. Wydzielina przeżarła nie tylko osłony, lecz także dotarła do mięśni Illiany.

Kobieta zawyła. Jeszcze nigdy nie czuła takiego bólu, nawet na wojnie. Co gorsza, nie była to rana zadana przez wroga, a głupi przypadek, jej wina. Poczuli się jak amatorka i

przekleła swój upór. Powinna posłuchać Dana, zostać w centrum i pomóc w przygotowaniach do ewakuacji.

Ale nie została. Ten sam upór utrzymywał ją na nogach. Lewą ręką sięgnęła po P220. W jakiś sposób ślimaki się uwolniły, zapaliły żywicę i zdewastowały ekosystem w kopule. Ale jak?

Wycofała się do uszkodzonego węzła. Zniszczenia tutaj na pewno zostały spowodowane nie tylko przez śluz i żywicę. Więc przez co? Ruszyła drugim korytarzem do kopuły ze ślimakami i znalazła odpowiedź na swoje pierwsze pytanie. Drzwi zostały wyrwane z zawiasów i leżały na podłodze, pogięte i zniszczone.

Były pokryte dziurami, które przypominały te na zewnątrz. Z jakiegoś powodu ślimaki zaatakowały drzwi.

Rozważyła wiele możliwościach i z uniesionym pistoletem przekroczyła próg. Prawe ramię, to co z niego zostało, już nie bolało. Czowała tylko tępe rwanie. Albo doznała szoku, albo jej mózg przestał mieć kontakt z receptorami bólu w tej części ciała. Tak czy inaczej był to zły znak. Nawet jeśli Illyana się stąd wydostanie, straci rękę. Zastanawiała się, czy firma kupi jej cybernetyczną kończynę w ramach rekompensaty.

Usłyszała pusty, oziębły śmiech. Zdała sobie sprawę, że to ona się śmieje. Była rozpalona. System chodzący kombinezonu wyłączył się po oderwaniu rękawa. Skafander się rozhermetyzował. Pot spływał Illyanie po twarzy i lał się do oczu.

Jej umysł skupił się nadzwyczaj szybko, kiedy się potknęła o ciało Raynoldsa w przejściu.

Ledwo go rozpoznawała, leżał rozszarpany na krwawe strzępy. Ale można było jeszcze rozpoznać człowieka. Pewnie poległ tam, gdzie wypowiedział ostatnie słowa — Illyana słyszała je podczas rozmowy z Danem w centrum bazy.

Pęknięcia, które dostrzegła z zewnątrz, znajdowały się właśnie w tej biosferze, ale dopiero od środka widać było prawdziwy ogrom zniszczeń. Wszędzie walały się odłamki osłony dyfuzyjnej. Roślinność w tym miniaturowym biomie była zdeptana i zniszczona. Kilka większych drzew zostało wyrwanych z korzeniami.

Spojrzała w dół, szukając śladów kolejnych ślimaków i zdała sobie sprawę, że takich dewastacji nie mogło dokonać stado spłoszonych zwierząt. Płyty podłogowe nie były tylko podrapane pazurami, nosiły też ślady wypaleń, żłobkowanych pazurów i ciężkich stąpanięc. Widok był znajomy, Illyana poczuła ucisk w dołku.

Za podwyższeniem w cieniu leśnych pnączy błysnęło. Illyana zbliżyła się ostrożnie. Podświadomie zaszła z drugiej strony, żeby nie znaleźć się na widoku, z plecami skierowanymi do pozostałych sekcji osłony geodezyjnej. Jej nozdrza zaatakował zapach zgnilizny. Ostrożnie wyjęła rurki tlenowe z nosa, żeby dokładniej poczuć tę woń i natychmiast włożyła je z powrotem. Cuchnęło okropnie, paskudną mieszaniną silnego kwasu i zaawansowanego rozkładu.

Gdy wyłoniła się zza rogu, zaparło jej dech. Na ziemi leżała pulsująca, wijąca się masa tkanki mięsnej i membran, która zdawała się jednocześnie żyć i gnić. Wydzielala toksyczne opary, który ulatniały się przez dziurę w kopule.

W środku, odwrócone do Illyany leżało stworzenie, które kiedyś mogło być ślimakiem zantariańskim. Teraz było znacznie większe, a jego brązowe ciało stwardniało do pancerza, pod którego płytami żywo pulsowały fioletowe membrany.

Ślimak się nie ruszał. Illyana powoli się wycofała. To, czego szukała, znalazła w pierwszej biosferze – pojemnik z lepkim, brązowym płynem, nieuszkodzony przez ogień. Zabrała go do kopuły ze ślimakami i położyła obok gnijącej masy, aby sprawną ręką zerwać pieczęć.

Następnie wstała, wylała płyn na ewoluującego ślimaka i strzeliła w niego z pistoletu.

Ogień zapłonął jasno i zaczął rosnać, buchnęły czarne opary dławiącego dymu. Illyana cofnęła się za winorośle i powalone drzewa. Odwróciła się, żeby ruszyć biegiem, i przez pękniętą osłonę kopuły zauważyła majaczący wśród pobliskich górskich szczytów olbrzymi, ciemny kształt. Nie przyjrzała się dobrze – było za ciemno i za daleko, a wołała się zatrzymać – ale od razu rozpoznała behemota.

Ślady pazurów i kolców, mutujący ślimak... To wszystko mógł być przypadek. Ale teraz nie miała wątpliwości.

Zergi wróciły. I licznie przybyły na Garxxaxa.

* * *

Zergi przedarły się przez osłabione kwasem drzwi, jak przez papier. Brach strzelił, zabijając cztery stwory, a potem usłyszał, jak następne drzwi otwierają się z sykiem.

— Brach, ruszaj! — krzyknęła Lee. Zazdrościła mu, że ma hełm, jej od huków wystrzałów dzwoniło w uszach. Przeszła już przez następne drzwi, położyła rękę na zamku cyfrowym. Brach pobiegł za nią, schylił się, gdy Lee wcisnęła przycisk awaryjnego zamykania. Jeszcze dwie grodzie.

Przeszli przez kolejne drzwi, zanim zergi zdążyły się przebić przez poprzednie i Brach odetchnął z ulgą. Dystans między nimi a pościgiem był coraz większy.

— *Kapitanie, jesteśmy gotowi do startu. Jak u was?* — głos pilota rozbrzmiał w słuchawce Lee.

— Wchodzimy do hangaru — odpowiedziała. — Czekajcie.

Ostatnie drzwi prowadziły do hangaru. Był niemal pusty, poza zniszczoną banshee Bracha i ostatnim promem pełnym marines. Rampa załadunkowa transportowca została opuszczona, ale w gotowości do zamknięcia. Lee i Brach byli ostatnimi ludźmi w bazie.

Silniki promu zawyły, pilot trzymał przepustnicę na najniższych możliwych obrotach, nie mógł się już doczekać, aż włączy maksymalny ciąg i wyniesie się stąd w cholerę.

Major i kapitan przebiegli przez hangar. Lee z przodu, gnała co sił w nogach. Brach mógł z łatwością wyprzedzić ją dzięki serwomechanizmom pancerza CMC, ale wolał biec wolniej i osłaniać tyły. Gdy zbliżali się do rampy, Lee usłyszała przytłumiony zgrzyt, ledwo słyszalny na tle silników, gdzieś z tyłu. Obejrzała się. Drzwi dwóch przejść awaryjnych zostały zniszczone, do hangaru wlały się hydryliski i karakany.

Brach też je dostrzegł, podniósł karabin i otworzył ogień.

— Biegnij — krzyknął przez komunikator w hełmie. — Będę cię osłaniać!

Lee zwalczyła chęć, aby zawrócić. Brach miał rację – nie była wyposażona do walki, a on dzięki kombinezonowi dotrze do statku w kilka sekund. Ale znała go, wiedziała, że lubi ryzykować.

— Nie! — krzyknęła, nie zatrzymując się. — Biegnij do rampy! Zdążymy, przed nimi!

Wydawało się, że Brach ją zignorował. Puścił salwę z karabinu w kierunku hydrylisków, zabijając dwa z nich. Ale potem zaczął się wycofywać i strzelać krótkimi seriami. Ciało zergów zaczęły się piętrzyć, blokując korytarz i spowalniając stwory z tyłu.

— Tylko się upewniam — rzucił wesoło. — Wskakuj na pokład! Jestem tuż za tobą!

Lee wiedziała, że mąż kłamie, ale i tak weszła na rampę, a potem się obejrzała.

— Jestem! A teraz zabieraj tu swoją dupę, żołnierzu!

Brach zaczął biec do promu, co chwilę odwracając się, aby ostrzelać zergi. Puścił ostatnią serię w karakany i wskoczył na rampę, ale zmarnował za dużo czasu. Były bliżej niż ocenił. Karakan na czele podniósł się na przednich nogach, otworzył paszczę i wypluł strumień kwasu w momencie, gdy Brach lądował. Wydzielina trafiła marine w prawe kolano,

mężczyzna się przewrócił. Upadł na brzuch przed Lee, która patrzyła ze zgrozą, jak pancierz z neostali zaczyna się dymić i topić na jej oczach.

Brach krzyczał, ale silniki promu ryczały tak głośno, że Lee nawet przez słuchawki ledwie go słyszała. Wił się z bólu. Miotając rękami przez przypadek zahaczył o Lee i przygwoździł ją do rampy. Przygnieciona ciężarem pancierza kobieta z trudem próbowała sięgnąć do pasa i znaleźć granat. Coś trzasnęło jej w stawie ramieniowym, ale nie poczuła bólu. Jej palce zacisnęły się wokół zimnej, gładkiej, stalowej okrywy granatu. Wyszarpnęła uwięzione ramię.

— Ruszać! Zamknąć rampę! — krzyknęła do mikrofonu i rzuciła granatem. Poszybował po łuku w promieniach słońca wpadających do hangaru. Trafił prosto w paszczę karakana, który zaatakował Bracha.

Zza wąskiej szczeliny zamykającej się rampy Lee patrzyła, jak zerga rozrywa wybuch. Dwóch marines obróciło Bracha na plecy, a kolejny krzyknął coś do pilota. Silniki zaczęły pracować pełną mocą. Prom wzbił się w powietrze, obrócił o dziewięćdziesiąt stopni i odlatując spalił zerga płomieniami z silników.

Brach, nadal leżał płasko na podłodze. Odwrócił głowę do Lee i podniósł wizjer. Uśmiechnął się, skrzywił boleśnie i znowu uśmiechnął.

— Zawsze wiedziałem, że zgrana z nas para.

* * *

Dannion patrzył z przerażeniem i rezygnacją, jak urywa się kontakt z ostatnią biosferą. Do przybycia statku ewakuacyjnego zostało jeszcze trzydzieści minut. Zastanawiał się, czy baza przetrwa do tego czasu. Jeśli centrum straci zasilanie, statek będzie musiał polegać na ręcznym naprowadzaniu, żeby znaleźć ludzi i wylądować, a z uwagi na górzysty,

leśny teren, będzie to trudne. W pobliżu znajdowało się jedno, dogodne miejsce: wykorzystywały je transporty, które sprowadziły personel i laboratorium na Garxxaxa. Ale przez ostatnich sześć miesięcy las deszczowy na pewno odzyskał ten teren i rozpoznanie go z powietrza będzie trudne. Szczególnie, że z zachodu nadciągała burza.

Ostatni kontakt z Jorres odbył się godzinę temu, kiedy Dannion nakłaniał ją do powrotu. Od tamtej pory cisza. Ale na razie i tak nie mógł zrobić nic więcej. Wszedł do głównej sali, gdzie zebrali się Callins i reszta personelu. Brakowało dwójki.

— Ej, gdzie Hesken i Dirthiss?

— Jeszcze się pakują — odburknął Callins. — Bez obaw, mamy czas.

Wszyscy rozsiedli się po pomieszczeniu, pili i rozmawiali. Większość narzekała. Niektórzy ostrożnie zerkali na Danniona. Wcześniej kłócili się na temat awarii, Hesken nawet oskarżył jego i Jorres, że przesadzają z reakcją na „zwykłe problemy z łącznością”. Dannion wspomniał o raporcie Jorres dotyczącej zniszczenia trzeciej strefy, ale Hesken to zignorował. Może zawałiło się drzewo albo z góry stoczyła się skała. Może zabłąkana asteroida spadła akurat na biosferę.

Nie wszyscy naukowcy narzekali. Niektórzy nigdy wcześniej nie żyli w takiej izolacji i wpłynęło to trochę na ich kondycję psychiczną. Ale utrata badań dotknęła każdego, nawet Danniona. Kiedyś był fizykiem i wolny czas poświęcał na analizę fal radiowych przy komunikacji międzygwiazdnej. Pobrał tyle danych, ile zdołał, ale ponieważ system łączności zaczął wariować, problemem zaczęła być utrata informacji. Domyślał się, że wyniki prac będą bezużyteczne, kiedy dotrą na Korhal. Kolejna strata.

Z zamyślenia wyrwało go gruchnięcie.

— Co to było, do cholery?

Callins machnął w kierunku sypialni Heskena.

— To pewnie Hesken wystraszył się własnego cienia i upuścił bagaż.

Kilku naukowców się zaśmiało. Hesken był znany z nerwowości, a rozkaz ewakuacji oczywiście sprawił, że stał się bardziej roztrzęsiony.

Kolejne gruchnięcie. Dannion ruszył przez salę, odpychając bagaże i krzesła. Zanim dotarł do korytarza prowadzącego do sypialni Heskena, odezwał się jego komunikator.

—... *do bazy... Jorres... Dan, słyszysz mnie?*

Komunikat przerywały szумы, ale dobrze było słyszeć jej głos.

— *Illyana, gdzie jesteś? Od godziny próbuję cię złapać.*

— *Dan, niedobrze.... sfera jest całkiem... zergi, jestem pewna... próbuję do ciebie dotrzeć...*

Do hałasu z pokoju Heskena dołączył inny hałas. Krzyki przerażonych ludzi walczących o życie.

Dannion zawołał do reszty naukowców.

— *Kuźwa, są tutaj! Do zbrojowni! Wszyscy, biegiem!*

Obrócił się, próbując sobie przypomnieć, w którym kierunku jest „zbrojownia”, a raczej komórka, gdzie znajdowało się pół tuzina pistoletów. Niewiele im pomogą, jeśli Illyana miała rację, a Dannion nawet nie miał stuprocentowej pewności, że dobrze ją zrozumiał...

Okazało się, że to nieistotne.

Dannion, Callins i reszta naukowców zamarła i oniemiała patrzyła, jak ogromna masa zergów wdziera się z korytarzy bazy do sali. Ludzie nie zdążyli się ruszyć, nim stwory ich otoczyły.

Nie trwało to długo.

* * *

Ładowanie promu było twarde. Hangar „Victorii” wypełniały pokładowe jednostki i sprzęt. Maszyny z Krakulv zajęły resztę dostępnej przestrzeni.

Ale każde lądowanie, które pozwalało przeżyć, było wystarczająco dobre. Marine zaczęli wychodzić witani przez tych, którzy przybyli wcześniej. Przybiegła ekipa sanitariuszek, aby zabrać Bracha i kilku innych rannych do ambulatorium. Lee niedługo miała się tam udać. Ale jeszcze nie teraz.

Zamiast tego otworzyła drzwi do kokpitu promu i złapała za słuchawki pilota.

— Kapitanie, mówi major Treicher.

— *Witam na pokładzie, pani major. Pani ludzie powiadomili mnie już, że jesteście ostatni...*

— Zamknij się i słuchaj. Natychmiast zabieraj statek w górę. Słyszysz? Musimy wznieść się na niską orbitę!

— *Nie da rady, major Treicher. Mamy rozkaz oczyszczenia bazy Krakulv bombami atomowymi przed powrotem do stacji.*

— Wydaje ci się, że co robiliśmy tak długo na dole, zabijaliśmy czas żartami?

— *A. Przyjąłem.*

* * *

Terranie uciekli, jak tchórze, którymi są, i opuścili swoją cenną bazę. Kerrigan przeskanowała teren oczami zergów, tworząc z obrazów panoramę terrańskich siedlisk. Większość technologii była stara i bezużyteczna dla zergów, a w bazie nie znaleziono żadnych śladów biotechnologii. Ale to logiczne, była to jedynie stacja ostrzegawcza. Terranie polegali głównie na inteligencji.

Zerglingi rozproszyły się po bazie, każdy centymetr posterunku miał zostać sprawdzony. Mutaliski zrobiły to samo wokół bazy. Kerrigan nie miała zamiaru zostawiać niczego przypadkowi.

Hydraliski i karakany przedzierały się przez bazę do jej ośrodka nerwowego. Jeśli na martwym księżycu istniały jakieś przydatne, terrańskie dane, to właśnie tutaj. Kerrigan wysłała karakany przodem, aby przebiły się przez drzwi pancerne do ular światła i dźwięków tętniącego aktywnością, siedziby elektrostatycznego ducha w maszynie, która działała w samotności w oczekiwaniu na powrót ludzi.

Pierwszy karakan poczuł ciepło, kiedy przechodził przez płynne pozostałości drzwi. Kerrigan zanotowało to odczucie, ale zdało się jej nieistotne, dopóki więcej zergów nie zaczęło czuć tego samego.

Po ścianach terrańskiego ośrodka nerwowego rozeszły się płomienie od miejsca, gdzie znajdowały się drzwi. Intensywny zapach poruszył wszystkim karakanami naraz, budząc przytłumione zbiorowe wspomnienia parnych dżungli, wysokich gór i żywicy egzotycznych pnączy.

Ogień sięgnął sufitu. Długość fal światła przesunęła się do czerwieni. Szybko oscylująca fala dźwięku wypełniła przestrzeń.

Głęboko we wnętrzu księżycowej bazy Krakuly systemy uzbrojenia zaczęły tętnić aktywnością.

* * *

Kontakt z Dannionem urwał się kilka sekund po tym, jak Illyana usłyszała krzyki. Wiedziała, że to nie z powodu problemów na łączach.

Widziała ślady uciekając ze zniszczonej biosfery trzeciej. Słyszała w oddali odgłosy ruchu, gdy zbierała słoje z żywicą. Słyszała eksplozje w innych biosferach, gdy nerwowo, prowadząc jedną ręką odjeżdżała łazikiem. Zerknęła w niebo. Zanosiło się na jedną z charakterystycznych dla Garxxaxa tropikalnych burz.

Zranione ramię zwisało jej beżużytecznie u boku. Teraz wyglądało jeszcze gorzej, jakby kwas się rozprzestrzeniał. Każdy podskok pojazdu na nierównościach powodował ostre klucie w klatce piersiowej Illyany, mimo że jechała po drodze gruntowej. Czy to kwas, czy zwykły ból i zmęczenie? Nie wiedziała i nie obchodziło jej to. Musiała wrócić do bazy.

Pięć minut temu, kiedy brała zakręt, we wstecznym lusterku zauważyła hydryliska wyskakujące z lasu. Od tamtej pory nie pokazał się więcej, więc Illyana założyła, że zergie jej nie zauważyły.

Błąd. W powietrze poleciały drzazgi, kiedy zergling wyskoczył zza drzew lądując przed maską łazika. Kobieta krzyknęła mimowolnie i próbowała skręcić, ale ulewa zamieniła drogę w błotną kąpiel i Illyana trafiła zderzakiem w obłe, chitynowe ciało zwierza. Panel z neostali odłamał się, poszybował i spadł na drogę z tyłu. Pojazd przechylił się, gdy jedna z frontowych osi wygięła się pod wpływem uderzenia.

Pojazd jednak jechał dalej. Ciągłe działał. Dym unosił się nad doliną, gdzie znajdowała się niewidoczna stąd baza. Ale podczas wojny Illyana widziała wiele razy, co zergie robiły z bazami i budowlami terran.

Łazik potoczył się jeszcze sto metrów, zanim coś z hukiem wbiło się w jego tył. Illyana zerknęła szybko w lusterko. Ścigała ją kolumna zergów. Tylony zderzak opadł, ryjąc stalą w błocie i ściągając pojazd w kierunku lasu.

Wyskoczyła z łazika, zanim rozbił się o drzewa na poboczu. Wylądowała na rannej ręce i krzyknęła z bólu, kiedy to, co zostało z jej kości, trzasnęło i pękło.

Zmusiła się, żeby wstać i wyciągnęła z pojazdu skrzynię słojów. Wiele z nich rozbiło się od uderzenia, ale część pozostała nietknięta. Illyana sprawdziła szerokość drogi, oceniła odległość nacierających zergów i uznała, że uda jej się stworzyć ścianę ognia, która je powstrzyma... o ile deszcz nie ugasi pożaru za wcześnie. Jeśli burza przejdzie, pożar może rozprzestrzenić się na las i spowolnić zergi, a to da Illyanie więcej czasu na dotarcie do bazy.

Albo usmaży ją na skwarek. Tak czy inaczej wiedziała, że już po niej. Postanowiła jednak zabrać ze sobą tyle tych bydlaków, ile się da.

Wyjęła pierwszy słoj... i podniosła wzrok zaskoczona hukami silników nad głową. Przez warstwę chmur przebił się lądowisk i zaczął schodzić w kierunku bazy. *Nawet piloci marines powinni zauważyć kolumnę dymu*, pomyślała z uśmiechem.

Pilotowi udało się nawiązać łączność, choć na linii panował szum.

— *Baza na Garxxax... lądowisk ewakuacyjny... Porucznik Treicher. Mamy... wizualny, proszę...*

— Ewakuacyjny, tu pierwszy oficer ochrony, Illyana Jorres! Baza jest zagrożona — powtarzam, baza zagrożona! Tylko ja ocalałam, pół kilometra od bazy, na drodze gruntowej! Szukajcie nacierających zergów! Odbiór!

Nastąpiła przerwa. Zergi zbliżały się do pozycji Illyany.

— *Przyjąłem.... oficerz Lee... przerywa... skanujemy... czekajcie w gotowości.*

Westchnęła. Przez zakłócenia pilot usłyszał tylko strzępki wiadomości i pół imienia Illyany. Ale przynajmniej w ogóle ją słyszał. Teraz musiała jedynie przetrwać do lądowania promu...

Rzuciła słoje żywicy w atakujące zergi i strzeliła ze swojego P220.

* * *

Lee obserwowała planetę na monitorach. Sanitariuszki na lądowisku niszczyciela przeniosły Bracha na wózek do transportu rannych.

Krakulv zadrżało, a następnie rozbłysło jasno nuklearnym żarem. Wyparowało.

— O, rany — westchnęła jedna z sanitariuszek. — To... to wasze dzieło? Było blisko.

— Wwierciliśmy ładunki atomowe w rdzeń, kiedy budowano bazę. Nie mogłam ryzykować złego odliczania, więc podłączyłam zapalniki do alarmowych systemów przeciwogniowych. Wystarczyło zaczekać, aż zergi wznicią pożar.

— Od kiedy to zergi używają ognia?

Lee uśmiechnęła się krzywo.

— Trochę im pomogliśmy. Trzymałam w gablocie z trofeami małą pamiątkę, słój żywicy z... Zresztą nieważne. Ważne, że zadziało.

Brach mocniej uściśnął jej rękę.

— He, cholerne... ślimaki...

Lee odwdzięczyła się uściskiem.

— No. Wiem. — Odwróciła się do sanitariuszek i wskazała na nogę Bracha. — Słuchajcie, to trafienie karakana. Kwas zawiera wiroidy, które roznoszą się po układzie nerwowym i zwykły nanostrup tylko nasili ten proces. Jedynym sposobem na pozbycie się infekcji jest zanurzenie całej nogi w kąpeli alkalicznej i zastrzyki z wirusami bakteriofagowymi, a następnie oczyszczenie rany i obserwacja. — Zamyśliła się na chwilę. — Ale szczerze mówiąc, pewnie i tak będziecie musiały ją amputować.

Sanitariuszka patrzyła z niedowierzaniem zdumiona jej szczerością.

— E, dziękuję pani i w ogóle, ale możemy porozmawiać o tym na osobności?

Brach zmusił się do uśmiechu.

— To moja żona... I wie więcej... o ranach karakanów niż.... niż twoi profesorowie mogliby cię nauczyć... pokaż jej, kochanie.

Brach puścił rękę Lee. Uniosła dłoń przed twarz sanitariusza i zdjęła rękawiczkę. Dech mu zaparło na widok płyt neostali i ukrytych częściowo pod nimi łączy nerwowych i endoszkieletu oraz miękkiej poświaty lampek kontrolnych.

— Cyberkończyna.

— Aż po ramię. Zgadnij, jak ją straciłam.

Brach zaśmiał się, zakaszłał i splunął flegmą. Znowu złapał Lee za rękę. Szła obok jego wózka, który sanitariuszki pchały korytarzami okrętu.

— Mówiłem... dobrana para.

— Zostanę przy tobie, Brachyan — Żona ścisnęła jego dłoń. — Drugi raz jestem twoją dłużniczką.

Brach uśmiechnął się lekko.

— Illyana, miewasz czasem... uczucie déjà vu?

Złapała go mocniej. Wjeżdżali do ambulatorium.

KONIEC